

Bronisław
Wojciechowski



W Powstaniu
na Mokotowie

Pisane
jesienią
1944



W Powstaniu na Mokotowie

Pisane
jesienią
1944



Bronisław
Wojciechowski

**W Powstaniu
na Mokotowie**

**Pisane
jesienią
1944**

Wstęp, opracowanie i przypisy
Lesław M. Bartelski

Instytut Wydawniczy Pax
Warszawa

Copyright by Michał Wojciechowski

Copyright for the Polish edition
by Instytut Wydawniczy Pax
Warszawa 2014

Projekt okładki
STUDIO KARANDASZ

Redakcja techniczna
Adam Wieczorek

Korekta
Zespół

Zdjęcia pochodzą z archiwum rodziny Wojciechowskich

ISBN 978-83-211-2078-2 (PDF)

SPIS TREŚCI

O Autorze – <i>Maria Wojciechowska</i>	5
Pamięci Przyjaciela – <i>Lesław M. Bartelski</i>	7
W Powstaniu na Mokotowie. Pisane jesienią 1944	21
Działania kompanii B-3 w czasie Powstania Warszawskiego	227

O AUTORZE

Bronisław Wojciechowski urodził się we Lwowie 24 października 1921 roku, w rodzinie łączącej tradycje walki o wolność z tym, co zwykło się nazywać pracą organiczną; jego ojciec, również Bronisław Wojciechowski, był żołnierzem Legionów i posłem na sejm RP. Wychował się w Borysławiu i we Lwowie, gdzie w 1939 roku zdał maturę. W 1940 przedostał się do Warszawy. Od 1941 działał w konspiracji, początkowo w pracy wywiadowczej na wschód od Warszawy. W 1943 roku ukończył podchorążówkę, studiując jednocześnie prawo i ekonomię na tajnym uniwersytecie. Uczestniczył też w konspiracyjnym życiu kulturalnym, przyjaźnił się ze Zdzisławem Stroińskim i Tadeuszem Gajcym. Zachorowawszy na gruźlicę, spędził wiele miesięcy w szpitalach i sanatoriach. Wrócił do Warszawy na samo Powstanie, w którym dowodził drużyną w kompanii B-3 pułku „Baszta”. Poważnie ranny uniknął jednak niewoli, a przykuty do łóżka w podwarszawskich Pyrach spisał publikowane obecnie wspomnienia.

Po wojnie mieszkał najpierw w Łodzi, na tamtejszym uniwersytecie skończył w 1946 roku studia ekonomiczne. Pracował w centrali handlu zagranicznego „Cetebe”. W 1951 roku usunięty ze stanowiska za wojenną przynależność do AK, pracę w handlu zagranicznym podjął znowu w Warszawie w roku 1957. Pracował głównie naukowo, interesował się zwłaszcza rachunkiem ekonomicznym w handlu zagranicznym i jego wpływem na całą gospodarkę. W 1972 roku uzyskał doktorat, w 1978 habilitację,

a w 1984 roku tytuł profesora nadzwyczajnego. Pracował w Instytucie Koniunktur i Cen Handlu Zagranicznego oraz w Polskiej Akademii Nauk. Był autorem blisko 200 prac, m.in. książek *Handel zagraniczny a dochód narodowy Polski* (1977) i *Importochłonność produkcji w Polsce* (1981). Zainteresowania jego wykraczały jednak poza ekonomię. Studiował geografię, zwłaszcza ludnościową, a w ostatnich latach życia pasjonował się badaniami nad historią Mazowsza w wiekach XVII–XIX, co zaowocowało m.in. biogramami dla *Polskiego Słownika Biograficznego* i nie opublikowaną monografią o Ignacym Przyjemskim, ostatnim staroście łomżyńskim.

Zmarł 1 listopada 1986 roku w Warszawie.

Maria Wojciechowska

PAMIĘCI PRZYJACIELA

Nie było go 1 sierpnia na cmentarzu, któryś z kolegów powiedział, że Broniek Wojciechowski czuje się źle, ale nie zwróciłem na to większej uwagi, pomyślałem, że może przesadza. Orientowałem się, że przeszedł niedawno operację, długo nie odzywał się, sądziłem jednak, iż zabieg przyczynił się do poprawy jego stanu zdrowotnego.

W kilka dni później on sam zadzwonił do mnie.

– Chciałem się z tobą pożegnać – powiedział spokojnie, jakby mnie powiadamiał, iż wyjeżdża za granicę. Miał przecież przyjaciół we Francji i Wielkiej Brytanii, więc machinalnie zapytałem:

– Dokąd się tym razem wybierasz?

Odpowiedział jak to on, nieco flegmatycznie, jakby mówił o kimś innym.

– Chciałem się z tobą pożegnać na zawsze, lekarze nie dają mi więcej niż dwa, trzy miesiące życia...

Już nie pamiętam dokładnie, co mu odpowiedziałem, byłem do głębi przejęty i zaszokowany jego słowami. Nie należał do ludzi, którzy w takich sprawach żartują, nie potrafiłby się zdobyć na tego rodzaju oświadczenie, gdyby rzeczywiście sytuacja nie była poważna.

Wybrałem się do niego, kiedy zawiadomił mnie, że zaprasza na spotkanie. Choć większość dnia spędzał już w łóżku, wstawał na godzinę lub dwie i jeszcze pracował nad obszernym życiorysem swego ojca. Dzień był pogodny, nawet upalny, środek lata. Marysia Wojciechowska szepnęła mi w drzwiach.

– Dobrze, że pan przyszedł. Bronek już czeka.

Siedział przy stole w jadalni, poza oknami widać było mocną zielen, gałęzie sięgały niemal ścian domu. Patrzyłem na półki z książkami, widok Bronka zatrwożył mnie. Wychudł bardzo, twarz miał siną, spod skóry wystawały kości. Przypominał mi tego chłopca sprzed lat, którego odwiedzałem jesienią 1943 roku w klinice „Omega”, gdzie leżał chory na gruźlicę.

Poznałem go 2 września 1942 roku. Datę zapamiętałem dokładnie, bowiem w nocy był nalot radziecki na Warszawę, jedna z bomb trafiła w pole buraków pastewnych w pobliżu naszej willi i jej siła wybuchu była tak wielka, iż w kuchni i w jadalni wypadły szyby w dużych weneckich oknach. Zbieraliśmy rozbite szkło i martwiliśmy się z matką, skąd weźmiemy pieniądze na wstawienie szyb.

Naraz ktoś zapukał. W drzwiach stał młody chłopiec, mój rówieśnik, ubrany w ciemny garnitur, twarz inteligenta, okulary pod wysokim czołem. Przedstawił się jako starosta kompletu tajnego Wydziału Prawa i oświadczył, iż zostałem przyjęty na II rok studiów. Podał mi też adresy miejsc, w których miały się odbywać tajne wykłady, były to mieszkania prywatne – jedno na Wspólnej, u dentystki pani Ireny Cywińskiej, drugie na Nowym Świecie 15 nad Café Clubem, u pana Zdzisława (nazwiska nie wymienił), wreszcie na Nowogrodzkiej 40, róg Poznańskiej, w firmie „Gazolina”. Kazał mi się nauczyć ich na pamięć, nie wolno było ze względów konspiracyjnych zanotować tych adresów. Zostawił mi również swoją wizytówkę z adresem, mieszkał na Fałata 2, w pobliżu ulicy Rakowieckiej.

Na pierwszy wykład pobiegłem podniecony. Nie wiem, czy pomyliłem adresy, dość, że na Nowym Świecie nikogo nie zastałem. Wpuściła mnie właścicielka mieszkania, uroczą i ładną pani Abaszidze; jej mąż był Gruzinem z pochodzenia, a jak później dowiedziałem się – oficerem AK. Zdzisław Stroński wynajmował u nich pokój, nie przyjechał jeszcze z wakacji, które spędzał u rodziców w Zwierzyńcu nad Wieprzem, gdzie jego ojciec pracował jako radca praw-

ny Ordynacji Zamoyskich. W pokoju zobaczyłem mnóstwo tomików poezji, ale nadaremnie wyczekiwałem na wykładowcę i kolegów z kompletu. Po jakimś czasie przeprosiłem panią Abaszidze za omyłkę i dopiero w dwa dni później znalazłem się na Wspólnej.

Zacząłem wypytywać naszego starostę, kim jest tajemniczy miłośnik poezji. Broniek powiedział mi tylko tyle, że studiuje on również polonistykę. Dodał, że on sam pochodzi ze Lwowa, ojciec jest dyrektorem warszawskiego oddziału „Gazoliny”. W okresie okupacji podejrzewałem, iż jest to (jak wiele tego rodzaju przedsięwzięć) fikcyjna firma, służąca celom konspiracyjnym. Niewiele się myliłem, choć rzeczywiście „Gazolina” była przedsiębiorstwem mającym swą centralę we Lwowie, założonym przez świetnego organizatora i wynalazcę, inż. Mariana Wieleżyńskiego, zajmującym się eksploataowaniem szybów naftowych oraz gazowych, a także produkcją lekkiej benzyny z gazu ziemnego, nazywanej gazoliną, która była wynalazkiem czysto polskim. Z tą firmą współpracował w latach dwudziestych m.in. wybitny chemik prof. Ignacy Mościcki, późniejszy prezydent RP*.

Niemcy zarekwirowali w Warszawie wszystkie zapasy gazoliny, przejęli magazyny, pozostawili jedynie lokal biurowy, w którym odbywały się poza wykładami kompletów prawa i ekonomii spotkania literackie, a nawet koncerty muzyczne; mieściła się tam ponadto redakcja „Tygodnika Informacyjnego”, organu Warszawskiego Obszaru AK, którego redaktorem był dr praw mjr rez. Bronisław Waclaw Wojciechowski, legionista, oficer 9. pułku Ułanów Małopolskich, poseł na Sejm, działacz społeczny, gospodarczy i polityczny we Lwowie i w Borysławiu, dawny „Zarzewiak”, a przed wybuchem I wojny światowej działacz niepodległościowy na terenie Łodzi i Galicji, człowiek skromny, nie

* Na podstawie maszynopisu Bronisława Wojciechowskiego syna pt. *Bronisław Wojciechowski (1893–1966)*, Warszawa 1986, z którego przejąłem także wiele innych szczegółów.

pyszniący się swoimi osiągnięciami życiowymi, kawaler Orderu Virtuti Militari, odznaczony Krzyżem Niepodległości i czterokrotnie Krzyżem Walecznych, kolega i przyjaciel gen. Tadeusza Komorowskiego, dowódcy AK.

Ale o tym wszystkim dowiedziałem się dopiero po jego śmierci w 1966 roku. Broniek opowiadał mi wielokrotnie o swoim ojcu, miałem też możliwość kilkakrotnego rozmawiania z dr. Wojciechowskim, cenilem jego sądy na temat rzeczywistości.

Również i matka Bronka była osobą nieprzeciętną. Poznali się podczas pracy konspiracyjnej w Piotrkowie Trybunalskim, zajęтым jeszcze przez wojska rosyjskie, ona była kierowniczką miejscowej komórki wywiadowczej I Brygady, on przybył z Krakowa jako tajny emisariusz pod nazwiskiem Wierzbowski i zatrzymał się u swojej siostry Kamilli Miernikowej, której mąż był urzędnikiem sądowym. Po sześciu tygodniach współpracy młody konspirator i student prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego zapytał koleżankę z podziemia, Jadwigę Zaleską, czy zechce zostać jego żoną. Odpowiedziała bez wahania – tak!

Pobrali się dopiero po czterech latach, wierni narzeczeńskiemu słowu, kiedy pan młody ukończył pomyślnie studia i był już oficerem 9. pułku ułanów. Z tego małżeństwa przyszło na świat dwoje dzieci – Anna, po mężu Rudzińska, i dwa lata od niej młodszy Broniek. Hania mogła powiedzieć z dumą, że gdy była jeszcze w pieluszkach i rodzice chwilowo przebywali służbowo na Wołyniu, od czasu do czasu kołysał ją do snu Tadek Komorowski, jak nazywano w rodzinie Wojciechowskich przyszłego dowódcę Armii Krajowej.

Nasz komplet składał się głównie z chłopców – Janusza Cywińskiego, którego zapamiętałem jeszcze sprzed wojny jako kolegę na prawie, byłego kłeryka Franciszka Sobola, któremu zły stan zdrowia (płuca) nie pozwolił na ukończenie Seminarium Duchownego, Zdzisława Strońskiego oraz Zbigniewa Wróblewskiego. Jedynaczką była Wanda,

mieszkająca na ulicy Wilczej w pobliżu Politechniki, córka właścicielki dużej kamienicy. Wróblewski był synem pracownika firmy „Krzysztof Brun i Syn”, bardzo znanej, mieszkał na Radzymińskiej, ojciec kierował bowiem filią na Targowej. Dzisiaj jest moim kolegą po piórze, autorem powieści o Starym Mieście.

Dopiero w czasie Powstania dowiedziałem się, że Broniek i Janusz byli kolegami z jednej klasy podchorążówki „Baszty” i jej absolwentami. Na Nowogrodzkiej odbywały się również wykłady tajnej szkoły podchorążych „Baszty”, prowadzone przez por. „Wichra” (Michała Juchnickiego), dowódcę kompanii B-3 („Sowa”), której żołnierzem był kpr. pchor. „Bronisław”, jak i zajęcia szkoły podoficerskiej. W tym lokalu znajdował się też punkt przerzutowy spłonek do granatów ręcznych, których wytwórnia mieściła się przy ulicy Wroniej. Sekretarka firmy, Maria Krasucka, przepisywała na maszynie nasłuchy radiowe i materiały do podziemnej prasy. Jednym słowem, „Gazolina” była wspaniałą „meliną” konspiracyjną, która uszła uwadze okupanta. Niemcy wpadli raz czy dwa, przeprowadzili rewizję, ale personel i kierownictwo pozostawili w spokoju.

Kiedy Broniek zachorował ciężko na płuca jesienią 1943 roku, przekazał mi kierowanie kompletem, co spotkało się z poparciem kolegów oraz kierownictwa studiów. Zacząłem pobierać chesne, ustalać w porozumieniu z tajnym Sekretariatem godziny i miejsca wykładów, zebrane pieniądze zanosilem do firmy „Eos” na Królewskiej przy Marszałkowskiej, w której pracował mgr praw Witold Złotnicki. Dziękaniem był prof. dr Józef Rapacz, góral spod Zakopanego, który pamiętał mnie z egzaminu w 1939 roku, rozstrzelany podczas powstania na Nowym Zjeździe. Twórcą kompletów i faktycznym organizatorem Wydziału był mgr praw Antoni Symonowicz, legendarny Tolek, po wojnie profesor SGPiS.

Na wykładach zetknęliśmy się z gronem wybitnych prawników, jak prof. Jakub Sawicki (prawo wyznaniowe), Stanisław Śliwiński (prawo karne), Henryk Piętka (filozofia

prawa) czy Stefan Szulc (statystyka i demografia). Prawo administracyjne wykładał prof. Józefowicz, pod tym pseudonimem krył się nie tylko świetny znawca przedmiotu, ale i działacz społeczny prof. Stanisław Kasznica z Uniwersytetu Poznańskiego. Ekonomii uczył nas prof. Stefan Zaleski, brat stryjeczny matki Bronka. Broniek jedyny z nas otrzymał stopień dobry, ja zaś trójkę z plusem, co i tak było wyróżnieniem. Prof. Zaleski był surowym egzaminatorem, ale człowiekiem życzliwym młodym, o czym przekonałem się w 1946 roku.

Poszliśmy też z Bronkiem i Zbyszkiem Wróblewskim na ekonomię tajnego Uniwersytetu Ziemi Zachodnich. Co mnie do tego skłoniło? Chyba przyjaźń z Wojciechowskim.

W czasie jego długotrwałej choroby odwiedzałem go na Fałata, poznałem jego siostrę i szwagra, młodego kompozytora i muzykologa, którzy przekradli się do Generalnego Gubernatorstwa spod Wilna. Stali się oni moimi przyjaciółmi, a także dysponentami lokalu na Nowogrodzkiej, w którym zamieszkali. Broniek kurował się w Świdrze, chodził na zabiegi, z rzadka pojawiał się na wykładach, ale wszystkie przedmioty opanował znakomicie. Jego obowiązkowość i zdumiewająca rzetelność świadczyła o niezwykłym charakterze. Nie umiał „sprzedawać” swojej wiedzy, nie popisывał się nią, a przecież na egzaminie z ekonomii przekonałem się, ile wie i umie. Podobnie jak i jego ojciec skromny, wszystko, czego się dotknął, robił z wrodzoną mu pilnością, był więc prymusem na kompletach prawa i ekonomii, cenionym przez wykładowców i kierownictwo tajnego Wydziału, odważnym i obowiązkowym podchorążym, co szczególnie uwidoczniło się podczas działań powstańczych.

Widzieliśmy się w lipcu 1944 roku w Świdrze, dokąd przyjechałem na zaproszenie Zdzisia Stroińskiego i Tacka Gajcego. Był to okres wyczekiwania na wielkie wydarzenia, czuliśmy się swobodniejsi licząc, iż każdy nadchodzący dzień przyniesie upragnione zmiany i odzyskamy wolność. Mieliśmy wrażenie, iż ciężar gniotący nas przez pięć lat

okupacji osuwa się w nicość i że kończy się czas zagłady, nadchodzi czas nadziei. Jeden Gajcy był pełen złych przeczuć, których nie potrafił ukryć. Recytował mi fragmenty najwspanialszego ze swoich utworów – poemaciku *Do potomnego*, za oknami drewnianej willi szumiały sosny i wydawało się, że wojna to tylko sen. Stroiński kuł ekonomię, musiał jeszcze złożyć ostatni z egzaminów II roku, nadrabiał zaległości powstałe na skutek pobytu na Pawiaku i przerwy w studiach. Miałem przygotowany do publikacji tomik poezji, poemat *Pieśń o zagładzie i nadziei* (powojenny tytuł *Przeciw zagładzie*), czytałem go przyjaciółom ze „Sztuki i Narodu”. Kończyłem też jednoaktówkę dla teatrów żołnierskich AK, zamówioną przez BIP KG AK, o zdobyciu przez II Korpus Ankony, chociaż walki nad Adriatykiem jeszcze trwały.

Bronka Wojciechowskiego spotkałem ponownie na powstańczym Mokotowie. Przed samą godziną „W” przywiózł broń dla swego plutonu, zajmującego willę prezydenta Stefana Starzyńskiego na Szustra, nieopodal Alei Niepodległości. Ucieszyłem się na jego widok, był to znak, że pójdziemy nareszcie do szturmów i zakończy się okres oczekiwania. Martwił mnie jednak brak broni. Jako niedawny magazynier plutonu dywersji „Mokotów” zdawałem sobie sprawę, że mamy jej niewiele. Łudziłem się, że pułk „Baszta”, jednostka wyborowa, podległa bezpośrednio Komendzie Głównej, ma jej więcej niż inne oddziały, zaś świetny dowódca ppłk „Daniel” (Stanisław Kamiński), którego stałem się podkomendnym, poprowadzi pułk do zwycięstwa.

Wspomnienia Bronisława Wojciechowskiego z sierpnia i września 1944, napisane bezpośrednio po Powstaniu, kiedy był rekonwalescentem po ciężkim zranieniu, dają obraz walczącego Mokotowa. Autor uniknął uogólnień, nie bawił się we „wszystkowiedzącego” żołnierza i historyka, rzetelnie i ze skromnością nakreślił swoje przeżycia. Był sekcyjnym, a później dowódcą 3. drużyny w I plutonie kompanii B-3, spełniał swój obowiązek z poczuciem od-

powiedzialności i przekazał nam dzięki temu Powstanie z jego blaskiem i szarością, kłopotami z bronią i niesubordynację kolegów. Przecież była to w istocie armia ochotnicza – młodzi chłopcy rwący się do działań zbrojnych, ale nienawidzący dyscypliny i musztry, którzy swój poryw serca przypłacili żołnierską śmiercią.

Kompania B-3 walczyła początkowo na odcinku północnym (Madalińskiego), później, po 2 sierpnia została przetrzucona na odcinek południowy (szkoła na Woronicza, Puławska), brała udział w walkach o Sadybę i Sielce, gdzie pchor. „Bronisław” został ranny, a wreszcie stanowiła przez pewien czas odwód dowódcy pułku, by w nocy z 23 na 24 września przejąć pozycje w Królikarni. Następnego ranka uderzyli Niemcy przeważającą siłą, kierując do natarcia samoloty, broń pancerną – czołgi z dywizji „Hermann Goering”, piechotę. Były to najtragiczniejsze chwile powstańczego Mokotowa, jego obrona ciągnęła się przez cztery długie dni, topniały szeregi walczących, dzielnica była zasypywana ogniem artylerii, karabinów maszynowych, moździerzy salwowych zwanych „krowami”, pojawiały się samoloty w locie koszącym, nieprzyjaciel użył po raz pierwszy także „goliatów”. Powstańcy bronili się zaciekle, dochodziło nawet do walk wręcz. Niemcy postępowali okrutnie, rozstrzeliwując wszystkich wziętych do niewoli, zabijając rannych w szpitalikach i w punktach opatrunkowych. Nad ranem 26 września ppłk „Karol” (Józef W. Rokicki), komendant V Obwodu AK i p.o. dowódcy 10. Dywizji Piechoty AK im. Macieja Rataja, zdecydował się za wzorem Starówki na odwrót kanałami do Śródmieścia-Południe. Do szpitala, w którym leżał ciężko ranny kpr. pchor. „Bronisław”, doszła przerażająca wieść, że sztab odchodzi kanałami do miasta. Jeszcze półtora dnia toczyły się boje, nim Mokotów skapitulował na warunkach uznania przez Niemców powstańców za kombatanatów, a więc przyznania im praw żołnierzy.

Bronek leżał na Misyjnej w szpitalu batalionowym, wpadłem do niego ze dwa, trzy razy, przyniosłem kilka pomidorów,

z których sływał Mokotów. Na szczęście opiekowały się nim matka i siostra (łączniczka kompanii B-3 o ps. „Hanka”) oraz szwagier. Oni też przenieśli rannego do Pyr, co tak wstrząsająco opisał Wojciechowski w swoich wspomnieniach.

Ponownie spotkałem go dopiero wiosną 1945 roku w Łodzi, która stała się dla mnie, co prawda na krótko, przystanią życiową. Mieszkałem przygodnie u życzliwych mi pp. Olędzkich i poprzez Witolda Rudzińskiego, pracującego w „Czytelniku”, otrzymałem adres Bronka na ulicy Trębackiej (dzisiaj Uniwersytecka). Jego ojciec wrócił do miasta swej młodości, zaczął pracować bodajże w Zarządzie Miejskim czy w Wojewódzkiej Radzie Narodowej. Obaj z Bronkiem wstąpiliśmy na wydział prawno-ekonomiczny Uniwersytetu Łódzkiego, przyjęto nas na III rok studiów, oczywiście pozostawały egzaminy uzupełniające. Latem 1945 roku zrezygnowałem ze studiów i przenieśliśmy się wraz z redakcją tygodnika „Chłopi” do Warszawy. Mieszkaliśmy z matką w naszej zniszczonej willi na Saskiej Kępie, później na ulicy Ateńskiej, u pp. Ptaszyckich, naszych przyjaciół.

Ale kontaktu z Łodzią nie zerwałem, pojawiałem się tam od czasu do czasu, miasto było faktyczną stolicą kraju, porobiłem masę cennych znajomości literackich, zostałem przyjęty do Związku już wiosną, zaś Witek Rudziński wziął moje wiersze jako tekst do swego poematu wojennego *Pięć lat* na chór mieszany a capella, wydanego przez Polskie Wydawnictwo Muzyczne w Krakowie. Była to pierwsza moja książka i choć nie było mego nazwiska na okładce, zachowałem ją w serdecznej pamięci.

Państwo Wojciechowscy przenieśli się do dużego mieszkania w Alei Kościuszki, zachodziłem, aby porozmawiać z Bronkiem i jego ojcem, który chętnie opowiadał o przeszłości, a miał wiele do powiedzenia.

Później moje kontakty z Łodzią urwały się, wiadomości o Bronku miałem poprzez Rudzińskich, którzy przenieśli się do Warszawy. Witek od wiosny 1947 roku był dyrektorem Departamentu Muzyki Ministerstwa Kultury i Sztuki, nie

zaniedbywał działalności kompozytorskiej i pedagogicznej, zawsze pełen inwencji i energii, która mi imponowała. Zamieszkali na Bielanach, odwiedzaliśmy ich latem 1948 roku z małą Agnieszką, pchając wózek dziecienny z pobliskiego Żoliborza. Ale kiedy przenieśliśmy się w 1950 roku na Mokotów, wizyty nasze stały się rzadsze.

Bronek po ukończeniu studiów ekonomicznych zaczął pracować w jakiejś centrali handlu zagranicznego, ożenił się z Marią Koziczówną, również ekonomistką, córką wyższego oficera artylerii, nie mogłem być na ich ślubie kościelnym mimo otrzymanego zaproszenia. Jednak z Łodzi zaczęły dochodzić mnie niepokojące wiadomości. Bronka szykanowano w pracy, chociaż był znakomitym urzędnikiem, czepiali się go personalnicy i inne władze, ponieważ w jego papierach widniały dwie literki – AK, bynajmniej nie ułatwiające życia. Przenosił się więc z jednej centrali do drugiej, wszędzie pozostawiając po sobie jak najlepszą opinię i żal szefów, iż go nie mogą zatrzymać. Taki był los części naszego pokolenia, które tylko w *Kolumbach* Bratnego przechodziło „na drugą stronę” bez konfliktów. Nasi koledzy byli inwigilowani, niejeden przesiedział w więzieniu.

Dla dr. Wojciechowskiego również zaczął się trudny okres życia, zwolniono go ze stanowiska kierownika wydziału handlu Rady Narodowej, przestał być członkiem towarzystw, które niejednokrotnie zakładał, a był specjalistą od organizacji pracy. Przeszłość dawała znać o sobie i wkrótce ten kawaler *Virtuti Militari* pozostał całkowicie bez pracy, utrzymując się z różnych tłumaczeń, najczęściej do spółki z kimś życzliwym, np. z Kazimierzem Błęszyńskim.

Bronek Wojciechowski, mając dość szykan i złośliwość, przeniósł się w 1955 roku z Łodzi do Warszawy wraz z żoną i dziećmi, mieszkał jakiś czas w Pyrach u swej ciotki Konopnickiej, a później, w 1961 roku sprowadził się na ulicę Pułku Baszta, stając się moim bliskim sąsiadem. Podjął pracę nad rozprawą doktorską z namowy prof. Witol-

da Trąpczyńskiego, ówczesnego ministra handlu zagranicznego. Zatrudniony w Instytucie Koniunktur i Cen Handlu Zagranicznego, ceniony zarówno przez kierownictwo, jak i kolegów, dość szybko stał się autorytetem naukowym. Miał w dorobku wiele artykułów fachowych i wystąpień na konferencjach międzynarodowych, poza niemieckim dobrze władał angielskim, uczył się hiszpańskiego i francuskiego, łączył badania teoretyczne z praktyką. Wyjeżdżał często za granicę, choć nie przychodziło to łatwo, gdyż niejednokrotnie mimo wystawionego wniosku nie otrzymywał paszportu służbowego. Korzystał z każdej okazji, aby poznać świat, będąc za granicą poza zajęciami służbowymi interesował się problemami geografii gospodarczej, zbierał książki i materiały do artykułów. Był wybitnym znawcą zagadnień handlu zagranicznego, jego rozprawa doktorska z 1972 roku nosiła tytuł *Handel zagraniczny Polski 1945–1969*; promotorem został prof. Witold Trzeciakowski, również uczestnik Powstania, żołnierz batalionu „Gustaw”.

Między pracą magisterską Bronisława Wojciechowskiego a doktoratem upłynęło 26 lat! Świadczy to o trudnościach, jakże charakterystycznych dla naszego pokolenia, w zdobywaniu pozycji życiowych. Niezwykle pracowity i pilny Broniek musiał utrzymywać sporą rodzinę, zapewnić jej jakie takie warunki materialne, by dopiero później zająć się sprawami zasadniczymi. Przez dwa lata nie podejmował dodatkowych zajęć zarobkowych i mógł poświęcić swój czas na prace naukowe. Od razu też po uzyskaniu stopnia doktora zabrał się za rozprawę habilitacyjną, przyjętą w 1978 roku, w 1984 roku uzyskał nominację na profesora nadzwyczajnego, pracując zarówno w Instytucie Koniunktur i Cen, jak w Instytucie Nauk Ekonomicznych PAN, będąc także członkiem Rady Naukowej przy Ministrze Handlu Zagranicznego.

Pasjonował się też historią i od pewnego czasu poświęcał jej wiele czasu. Interesował się nie tylko historią współczesną z okresu II wojny światowej i okupacji, ale także wiekiem

XIX. Zawsze był uczynny, a kiedy poprosiłem go o dalsze materiały do historii jego kompanii, sporządził mi odpis listy powstałej w okresie walk, którą zajmował się st. sierż. „War” (Józef Wudarczyk), a ponadto już z własnej chęci Broniek zrobił mi statystykę wieku swoich towarzyszy broni, co mi się bardzo przydało przy pracy nad monografią *Pułk AK „Baszta”*.

Przede wszystkim zajął się dziejami rodziny Wojciechowskich i Zaleskich, szperając w archiwach i gromadząc materiały do biografii swego ojca. W Londynie podczas ostatniego swego pobytu zetknął się z Lechem Wieleżyńskim, autorem opublikowanej tam książki o „Gazolinie” pt. *Wspólna praca – wspólny plan*, szperał też w przedwojennej prasie, głównie lwowskiej, by uzyskać dokumentację wystąpień politycznych swego ojca. W trakcie poszukiwań dotyczących dziejów swej rodziny natknął się na materiały, które pozwoliły mu na napisanie kilku rozprawek historycznych, m.in. o ojcu generała Kazimierza Pułaskiego. Był też Broniek współpracownikiem *Polskiego Słownika Biograficznego*, w którym zamieścił kilka biografów.

Na naszym ostatnim spotkaniu w dniu 15 sierpnia 1986 roku poza wspominkami „basztowymi” opowiadał z przejęciem o rozmowie z sędziwym gen. Klemensem Rudnickim, drugim po gen. Maczku dowódcą 1. Dywizji Pancерnej, a w 1939 roku dowódcą 9. pułku Ułanów Małopolskich, który dowiedziawszy się, że ma do czynienia z synem oficera tej jednostki, wyraźnie rozczulił się i wpisał mu serdeczną dedykację do swoich wspomnień, a drugie ich wydanie właśnie ukazało się po wielu latach.

Broniek ożywił się, nabrał werwy, bladą twarz zabarwił rumieniem. Mówiliśmy o wielu sprawach, jakby pragnąc wyczerpać tematykę, która nas obu pasjonowała. Kiedy wyszedł na chwilę, by mi pokazać maszynopis pracy o swoim ojcu, Marysia szepnęła do mnie: „Trafił pan na wyjątkowo dobry dzień”.

Uświadomiłem sobie, że znamy się przecież i przyjaźniliśmy niebagatelny szmat czasu – 44 lata! Łączyła nas nie tylko przeszłość i przeżycia młodości, konspiracja i udział w Powstaniu Warszawskim, studia i wspólne zainteresowania, ale także i to, co charakteryzuje tego rodzaju związki – wzajemne zaufanie. Można było na nim polegać jak na Zawiszy!

Jego powstańcze wspomnienia znałem od lat. Namówiłem go bowiem w 1967 roku, aby je przepisał na czysto i przekazał mi jeden z egzemplarzy, potrzebny do pracy przy *Mokotowie 1944*, co mimo licznych zajęć szybko zrobił. Pamiętałem tekst z pierwszej lektury powojennej, cechowała go rzeczowość, ton osobisty, przekazywanie swoich spostrzeżeń z walk dzień po dniu, a rzadko kto umiał się zdobyć na tak obiektywną ocenę wydarzeń, jak właśnie pchor. „Bronisław”.

Na tle innych pamiętników z Mokotowa wspomnienia Wojciechowskiego nabierają specyficznych wartości i śmiało mogą konkurować z dziełami Tadeusza Kubalskiego z kompanii K-1, również dowódcy drużyny, czy Antoniego Woszczyka, dowódcy kompanii K-3. Mają one bowiem jeszcze jedną cenną cechę – udało się Wojciechowskiemu odtworzyć dzięki spostrzegawczości i talentowi narracyjnemu niepowtarzalny nastrój tamtych, niezapomnianych dla naszego pokolenia dni. Sądzę też, iż *W powstaniu na Mokotowie. Pisane jesienią 1944* zajmie właściwe miejsce w historiografii Powstania Warszawskiego jako rzetelny dokument przeżyć, a zarazem utwór nie pozbawiony walorów literackich. Można jedynie żałować, iż autor tych wspomnień skupił się jedynie na okresie walk w 1944 roku, nie miał zaś okazji, aby przedstawić swoje życie od złożenia matury w VIII Liceum im. Kazimierza Wielkiego we Lwowie (klasa matematyczno-fizyczna) w 1939 roku aż po ostatnie dni.

Powiedział do mnie w pewnej chwili, że przeprasza, ale musi się już położyć i wziąć leki na uśmierzanie bólów. Twarz mu znowu zsiniała, oddychał z trudem. Pocałowaliś-

my się serdecznie z dubeltówki, dodał: „Szybko to idzie, już niedługo...”.

I pocałowałem go ponownie w czoło, kiedy leżał już w trumnie. A potem żegnałem na Starych Powązkach w imieniu towarzyszy broni. Wokół grobu zebrali się żołnierze „Baszty” z pocztem sztandarowym, koledzy z pracy, w tym wielu wybitnych uczonych o europejskiej renomie, oni również zabierali głos. Jesienny wiatr ciskał uschłymi liśćmi, grudki ziemi spadły na wieko trumny, na tle brązowej pokrywy uwidoczniła się wstążka o barwach Krzyża Walecznych.

Odchodziliśmy z moją żoną ze ściśniętym sercem, ubył ktoś bliski nam i życzliwy, jeden z wartościowych i przyzwoitych ludzi, jakich znałem. Pozostawił po sobie zrozumiałą żal i pamięć.

Lesław M. Bartelski

Warszawa, 15 sierpnia 1987 roku.

Siedzę przed oknem zasnutym jesienną szarugą i patrzę w dal, prosto przed siebie. Blisko horyzontu widać ścielące się gęsto tumany dymów, zmieszane z listopadową mgłą. Leżą rozsnute nisko, a szeroko – nieruchome, ponure. To Warszawa.

Odkąd wstaję już z łóżka i odbywam trudną, dwumetrowej długości drogę do fotela za biurkiem, nie mogę uniknąć tego widoku. Moje okno wychodzi na północ, prosto na miasto, odległe zaledwie o kilka kilometrów. Muszę patrzeć na nie co dzień i co dzień widzieć, jak dogorywa, palone zbrodniczą ręką.

Najstraszniejszy chyba jest spokój, w jakim się ten okropny mord dokonuje. Z rzadka tylko od praskiego brzegu rozlegnie się seria wybuchów. Przeważnie jest zupełnie cicho i tylko deszcz dzwoni monotonna o szyby...

Mogę zamknąć oczy i wtedy znika obraz dopalającego się miasta, rozpięty na krzyżu okiennej ramy. Przychodzą za to inne, równie uparte i nieuniknione. Powstanie...

Właściwie widzę je ciągle. Wypełnia każdą chwilę snu, pali się przed zamkniętymi oczyma jaskrawym światłem pożarów i rakiet. Huczy w uszach rykiem „krów” i lotniczych silników, grzechotem karabinów maszynowych i głuchym oddechem bomb i min. Wszystko to razem zlewa się w jeden potworny obraz, przed którym nie ma ucieczki.

Bronisław Wojciechowski

Warszawa, 4 listopada 1944 roku.

W końcu lipca 1944 roku wróciłem do Warszawy ze Świdra, gdzie spędziłem kilka miesięcy, lecząc się na płuca. W Warszawie zastałem nadzwyczajne wprost podniecenie. Niemcy uciekają z miasta; nieprzerwane sznury samochodów, czołgów i armat ciągną dzień i noc na zachód. Przez Aleje Jerozolimskie trudno wprost przedostać się na drugą stronę. Nie ulega wątpliwości, że to odwrót, że to zupełna klęska Niemców. Lada dzień linia frontu przesunie się do Warszawy i nadejdą decydujące wydarzenia.

Praca konspiracyjna wre i staje się coraz bardziej jawna. Wszyscy biegają jak opętani i tylko ja wałęsam się beczynn timer. Czuję się okropnie niepotrzebny, opuszczony i zapomniany. Co robić? Zastanawiam się, czyby nie znaleźć sobie jakiegoś przydziału, odpowiedniego dla mego stanu zdrowia. Męczę, kogo się da – kolegów, dawnych dowódców. Nikt ani słuchać nie chce. Daj nam spokój – wołają – mamy dość własnych kłopotów i nie możemy zajmować się takimi jak ty umrzykami.

Pozostaje mi tylko zgłosić się z powrotem do dawnej służby w kompanii B-3 pułku „Baszta”. Przed chorobą byłem tam dowódcą drużyny w stopniu kaprała podchorążego. Ostatnio czuję się ze zdrowiem zupełnie dobrze, tyle tylko, że odma przeszkadza trochę w bieganiu, no i – rzecz ważna w wojsku – w krzyczeniu...

Jestem na odprawie u dowódcy kompanii¹. Wiele obcych

¹ Por., kpt. piech. „Wicher” („Ryszard”, „Łom”) – Michał Juchnicki (1914–1977), uczestnik kampanii 1939 roku w 52. pp i SGO „Polesie”. W konspiracji na terenie Warszawy od 1940 roku, w pułku „Baszta” od stycznia 1942 roku; komendant klasy w podchorążówce, dowódca i organizator kompanii „Sowa” (B-3) od grudnia 1942 roku. Ranny 1 i 17 sierpnia 1944. Po wojnie pierwszy przewodniczący środowiska „Baszty”.

twarzy – dziesięć miesięcy minęło przecież od czasu, gdy zachorowałem. Mam zamiar zameldować swój powrót do służby, jeszcze się jednak waham. Zgłosić się łatwo, ale czy podołam obowiązkom, czy przydam się w ogóle do czegoś? Z drugiej strony czuję, że jeśli się nie zgłoszę, to większość kolegów uzna mnie za zwykłego dekownika; co gorsza sam gotów jestem tak o sobie pomyśleć. Co robić? Wreszcie pada decydujące pytanie:

– Więc wraca pan ostatecznie do służby, czy nie? – Ostatnia chwila wahania... pal sześć, wracam!

– Doskonale. Wracacie więc do I plutonu. Tylko gdzie tu was wsadzić? Wolnych drużyn na zawołanie nie mamy... aha, prawda – pójdziecie na zastępcę do „Grudziny”². Na razie zajmiecie się jedną sekcją – niewiele roboty, a później zobaczymy; może znajdzie się coś odpowiedniejszego. Na razie cześć!

Kpr. pchor. „Grudzina”: twarz okrągła, wesola, trochę jakby zapijaczona. Okazuje się, że i on chorował na płuca. A tośmy się dobrali! Po kilku minutach jesteśmy w najlepszej komitywie.

Na początek dostałem pod opiekę sześciu ludzi z sekcji „Żaka”³. Wyznaczam im zbiórkę na pojutrze, przeznaczając jutrzejszy dzień na powtórkę regulaminów wojskowych.

Tymczasem następnego już dnia (27 lipca) zostaje zarządzone pogotowie alarmowe. Sekcja ma czekać w lokalach, gotowa w każdej chwili do wymarszu. Czyżby już miało się zacząć? Po całodziennym bieganiu (o tramwaju nie ma co marzyć) gromadzę swoją sekcję w lokalu strz. „Marka”⁴ przy ulicy Śniadeckich. Czekamy tam w wielkim

² Kpr. pchor. „Grudzina” – Czesław Grządzielski (1921–1958), dowódca 3. drużyny, absolwent III Kursu Szkoły Podchorążych Rezerwy Piechoty pułku „Baszta” (sierpień 1943 roku).

³ St. strz. „Żak” – Bogdan Bronowski (1926–1944), sekcyjny, rozstrzelany 27 września na ulicy Dworkowej.

⁴ Strz. „Marek” – Waldemar Zajda (1925–1944), poległ 1 sierpnia na ulicy Wiśniowej.

podnieceniu i nudzimy się przeraźliwie. Pierwszego dnia nic się nie dzieje, podobnie w dni następne. Komunikaty radiowe donoszą jednak o nieustannych postępach Armii Sowieckiej, o zajęciu Lublina, Dębina, Łukowa. Z godziny na godzinę oczekujemy na rozkaz do akcji zbrojnej. Napięcie nerwowe jest coraz większe, naprawdę trudno jest znieść to ciągle oczekiwanie.

W sobotę (29 lipca) wieczorem przychodzi rozkaz koncentracji na „punkcie wyjściowym” naszego plutonu w willi przy rogu Szustra i Alei Niepodległości. Rozkaz do wymarszu zostaje jednak odwołany i wracamy z powrotem na nasze lokale sekcyjne. Jeszcze przed tym alarmem wydzielony z kompanii oddział specjalny pod dowództwem dowódcy naszego plutonu, „Szarego”⁵, przyniósł z Lasów Chojnowskich zakopaną tam broń kompanii. Maszerowali nocą obładowani bronią i amunicją i tak dotarli do naszych lokali na Mokotowie. O przebiegu tej emocjonującej eskapady dowiedziałem się od swego kuzyna Kazika Miernika⁶, który brał w niej udział.

Czekanie trwa dalej, równie jak przedtem monotonne i rozpaczliwe. Ludzie gonią resztkami nerwów. Nawet najspokojniejsi marzą tylko o tym, żeby się nareszcie zaczęło. Tymczasem nikt nie wie, kiedy się „to” zacznie i czy w ogóle się zacznie. Dowódca kompanii por. „Wicher” i jego świeżo upieczony zastępca ppor. „Witold”⁷ wiedzą tyle samo, co i my wszyscy, i tak samo jak my nudzą się przeraźliwie. Siedzą całymi dniami na punkcie alarmowym kompanii,

⁵ Plut., sierż. pchor. „Szary” – Włodzimierz Gołaszewski (1922–1944), dowódca I plutonu, jeden z pierwszych żołnierzy „Baszty”, absolwent III Kursu SPRP. Ranny 1 sierpnia, objął ponownie dowództwo 15 września; zginął 27 września w Ursusie podczas próby ucieczki.

⁶ Strz. Kazimierz Miernik (1924–1944), ps. „Wojniłowicz”, poległ 1 sierpnia na ulicy Melsztyńskiej.

⁷ Ppor., por. rez. piech. „Witold” – Witold Złotnicki (1916–2000), prawnik, uczestnik kampanii 1939 roku, jeden z organizatorów tajnego Wydziału Prawa UW i kierownik jego sekretariatu. Po Powstaniu w niewoli, następnie w II Korpusie, od 1946 roku w Wielkiej Brytanii, przewodniczący Koła „Basztowców” i Mokotowiaków w Londynie.

który mieści się w mieszkaniu mojej siostry, przy ulicy Nowogrodzkiej 40.

W poniedziałek całe miasto huczy o tym, że „bolszewicy” są już w Otwocku. Jednocześnie jednak ustają sowieckie naloty na Warszawę. W mojej sekcji mamy dodatkowo urozmaicenie, bo wykopujemy skrzynkę granatów zakopaną w ogrodzie u Lardellego. Personel cukierni nie próbuje się nawet sprzeciwiać i robota odbywa się zupełnie jawnie, na oczach publiczności.

Długie dni oczekiwania przydały mi się na tyle, że zapoznałem się przez ten czas ze swoją sekcją. Składa się ona z sześciu ludzi: st. strz. „Żaka” i strzelców: „Marka”, „Maćka”⁸, „Mocnego”⁹, „Mariana”¹⁰ i „Mietka”¹¹. Sami młodzi chłopcy w najlepszym wieku 18–21 lat. Dwaj ostatni to robociarze z Targówka, odznaczający się nieporównanym humorem.

1 sierpnia

Nadchodzi wtorek – szósty dzień pogotowia. Czuję, że decyzja musi nadejść lada chwila. Dalsze czekanie jest prawie niemożliwe – ludzie zaczynają się rozłazić. Coraz trudniej utrzymać ich w lokalu.

Pierwszy komunikat radiowy podaje, że wojska sowieckie zdobyły w ciągu dnia wczorajszego Otwock, Wołomin, Radzymin i osiągnęły wschodnie krańce Warszawy. Wszystko wskazuje na to, że sprawa powstania musi się rozstrzygnąć w ciągu najbliższych godzin.

O dziesiątej wpada do nas zdyszany łącznik i woła: Dziś! Dziś! Okazuje się, że mamy najpóźniej do godziny

⁸ Strz., st. strz. „Maciek” – Stefan Maciejczyk (1922–1999).

⁹ Strz. „Mocny” – Zbigniew Ołowski (1924–2002).

¹⁰ Strz. „Marian” – Tadeusz Jarek (1924–1944), poległ, brak bliższych danych.

¹¹ Strz. „Mietek” – Baltazar Siwiński (1924–1944), poległ 12 sierpnia na ulicy Pyrskiej.

trzeciej przejść na punkt wyjściowy przy Szustra. Nic więcej nie wiadomo, ale jesteśmy przekonani, że tym razem coś z tego wyniknie. Łącznik biegnie dalej zawiadomić inne sekcje, a jednocześnie wpada „Grudzina”, prawie nieprzytomny z przejęcia; wydaje jakieś bezładne rozkazy i biegnie dalej.

Czeka mnie teraz mnóstwo pracy – trzeba przenieść na punkt wyjściowy nasze granaty, a ponadto żywność zgromadzoną przez sekcję „Żarłocznego”¹² na Koszykowej. Jak na złość wszyscy moi ludzie gdzieś się podziali; do trzeciej niewątpliwie się odnajdą, ale na razie nie ma kto zająć się transportem. Ostatecznie granaty przewozi gospodyni lokalu, bardzo odważna niewiasta. Ja biegam w poszukiwaniu swoich ludzi, a po ściągnięciu ich do lokalu ładuję na riksze nasze zapasy, całe wory z żywnością, i przewożę to wszystko na razie do swego mieszkania przy ulicy Fałata na Mokotowie, w pobliżu naszego punktu wyjściowego.

Po obiedzie przenoszę bagaże z pomocą mego kuzyna Kazika i jego kolegi na punkt wyjściowy na rogu ulicy Szustra i Alei Niepodległości (w willi byłego prezydenta Warszawy, Starzyńskiego). Po drodze mijamy posterunki obserwacyjne, krażące z tajemniczymi minami na pustych uliczkach. W pobliżu naszego punktu panuje za to ożywiony ruch; jeden za drugim spieszą tam młodzi ludzie o wojskowym wyglądem, defilując bezczelnie przed niemieckim posterunkiem przy Alei Niepodległości. Nadzwyczajny ruch wzbudził zainteresowanie okolicznej dzieciarni, która przygląda mu się z pełnego respektu oddalenia. Istotnie, dla osób postronnych widok musi być niezwykły. Wąska furtka, cała zarosła zielenią, wchłania w siebie coraz to nowe zastępy młodzieńców w długich butach i coraz to nowe transporty ciężkich skrzyń i worów. Na szczęście ulica warszawska niejedno już widziała i mało czemu się dziwi.

¹² St. strz. „Żarłoczny” – Alojzy Towpik (1913–1944), poległ 11 sierpnia na ulicy Pyrskiej.

INSTYTUT WYDAWNICZY PAX, WARSZAWA 2024
00-519 Warszawa, ul. Wspólna 25
e-mail: iwpax@civitaschristiana.pl
www.iwpax.pl

Wydanie II. Ark. druk. 15,0/16.
Fotoskład: DARTEXT, Warszawa
Druk i oprawa: Drukarnia im. A. Półtawskiego
25-701 Kielce, ul. Krakowska 62